

Poznań jako artystyczna trampolina

JERZY SATANOWSKI | Kompozytor opowiada o swych artystycznych przyjaźniach i mieszkaniu, w którym poznał Stachurę.

✎: Choć urodził się pan w Warszawie i od lat w niej mieszka, to jednak drugim ważnym miastem był i jest dla pana Poznań. Pamięta pan swój pierwszy pobyt w tym mieście?

JERZY SATANOWSKI: Ten pierwszy kontakt z Poznaniem miałem dość wcześniej, bo jako 14-latek pacholę zostałem wywieziony przez mamę właśnie do Poznania. Od razu trzeba zaznaczyć, że nie były to przenosiny z wielkiej Warszawy do mniejszego Poznania, tylko ze wsi do miasta. Mieszkaliśmy bowiem na przedmieściach Warszawy, w osadzie Opacz, w czasach, kiedy był to teren całkowicie rolniczy. Kiedy zacząłem chodzić do ogólniaka w Warszawie, były to dla mnie wycieczki do wielkiego miasta. Tak więc nie czułem się wtedy w tej Warszawie zadomowiony. Pierwsze spotkanie z Poznaniem było zetknięciem się z mentalnością wielkiego miasta. Nieznany wcześniej rodzaj spotkań koleżeńskich, spędzania wolnego czasu, kontaktów z kumplami. Inna szkoła.

Wychował się pan więc właściwie w Poznaniu.

Tak. Z tym że najpierw byłem tylko półtora roku w Poznaniu, potem był półtoraroczny pobyt w Wolsztynie i powrót do Poznania. Tam zdałem maturę, dostałem się na polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza i spędziłem w tym mieście kolejne lata. Dopiero gdy wróciłem do Warszawy i zacząłem pracę w teatrach jako

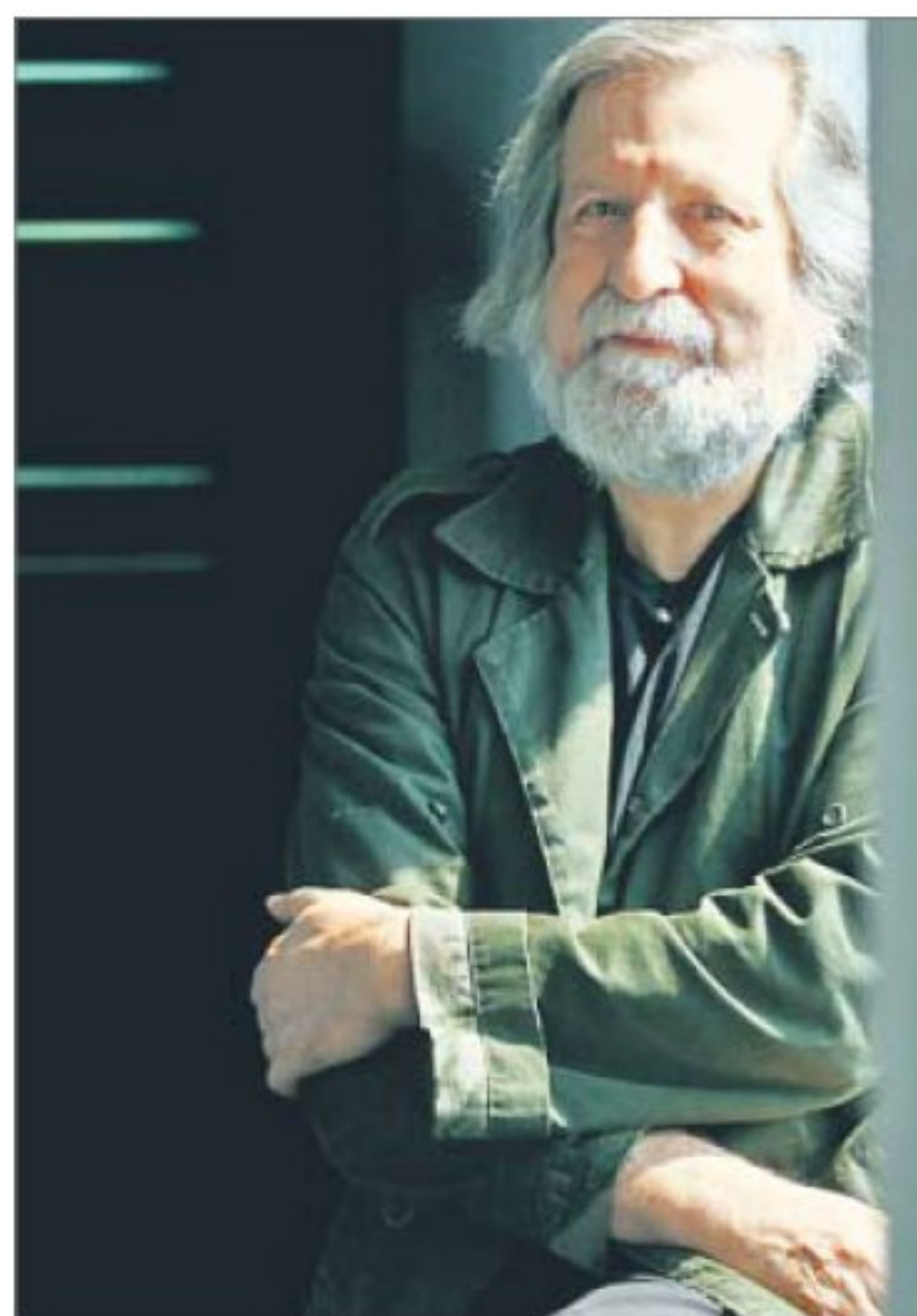
kompozytor, ta Warszawa powoli przywracała mi poczucie, że jestem jednak stąd.

W Poznaniu były właściwie trzy bardzo ważne dla pana adresy: uniwersytet, Teatr Nowy oraz słynne mieszkanie, o którym krążą legendy.

Los sprawił, że mój ojciec Robert Satanowski został zaangażowany do opery w Zurychu i pozostawił mi w Poznaniu 170-metrowe mieszkanie. Dla studenta była to niezwykle wygodna sytuacja, bo miałem dodatkowo systematycznie płacony czynsz i jeszcze jakieś stypendium na przeżycie. Było to więc sześć lat beztróski, oczywiście trzeba było się jeszcze uczyć. Ale szybko się zorientowałem, że nie jest to takie trudne.

To mieszkanie stało się miejscem spotkań artystycznej bohemy...

Oprócz nauki wiele czasu zajmowało nam życie towarzyskie. Miałem gitarę i z grupą przyjaciół organizowaliśmy wspólne muzykowanie. Wtedy nie tylko sporo grałem, ale chętnie udzielałem się jako wokalista. W pewnym momencie ten dom stał się miejscem, w którym po koncertach, spektaklach czy wernisażach miałem sporo gości. Wszyscy chcieli gdzieś pójść i przychodzili do mnie. To właśnie w tym mieszkaniu gościło wielu ważnych artystów tamtego okresu: Jonasz Kofta, Marek Grechuta, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Tadeusz Woźniak. Poza tym cała



Jerzy Satanowski, wybitny kompozytor teatralny i filmowy, wokalista, dyrygent i reżyser. Urodzony w 1947 r. Jego dorobek to ok. 300 realizacji scenicznych w kraju i za granicą. Laureat wielu festiwali teatralnych (m.in. Belgrad, Nancy, Edynburg). Jest kompozytorem piosenek aktorskich Stachury, Osieckiej, Kofty i Wołka, śpiewanych m.in. przez Krystynę Jandę, Piotra Fronczewskiego, Ewę Błaszczyk czy Piotra Machalicę. Skomponował muzykę do filmów m.in. Marka Koterskiego, Janusza Zaorskiego, Filipa Bajona, Stanisława Różewicza i Roberta Glińskiego.

masa muzyków, dziennikarzy, jazzmanów. Oni wpadali do tego domu, a bywało, że i chętnie w nim pomieszkiwali.

Tu zaczęła się pana przyjaźń z Edwardem Stachurą.

Na filologii polskiej siedziałem w jednej ławce z poetą Wincentym Różańskim, który jest współbohaterem „Calej jaskrawości” Stachury. Edward przez lata się nim opiekował, ponieważ Różański bardzo często – nazwijmy to – „tracił kontakt z rzeczywistością”. Stachura opiekował się zresztą też innym poetą, Andrzejem Babińskim, również niespokojnym duchem, z którym studiowałem. Obaj nie mieli warunków, by go gościć, więc Sted zatrzymywał się u mnie. Z tej znajomości, a potem przyjaźni, ukształtowała się cała moja droga życiowa. W tym mieszkaniu przy Lubeckiego napisaliśmy wspólnie

15 piosenek, które stały się kanonem mojego debiutu teatralnego w teatrze w Kaliszu.

Było to w czasach tzw. złotej dykcji kaliskiej Izabelli Cywińskiej.

Tak, i sukces tamtej dykcji spowodował, że Iza otrzymała propozycję poprowadzenia Teatru Nowego w Poznaniu. Wtedy zaproponowała mi posadę kierownika muzycznego. Tej placówce jestem wierny właściwie do dzisiaj. Myślę więc, że niedługo zostanie uznany za matuzalema poznańskiego Teatru Nowego, bo mimo zmiany dyrektorów nadal jestem z tą sceną związany. Pracowałem tu potem za Eugeniusza Korina, Janusza Wiśniewskiego i teraz za Piotra Kruszczyńskiego.

Za dykcji Izabelli Cywińskiej narodziła się grupa Janusza Wiśniewskiego, której stał się pan

współtwórcą i z którą odnosiliście sukcesy na najważniejszych festiwalach teatralnych...

Ten teatr wystartował zresztą z mojej inicjatywy. Namówiłem Izabellę Cywińską, by obejrzała dyplom Janusza Wiśniewskiego „Dom Bernardy Alba” w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Tak jej się spodobał, że namówiła go na zrobienie „Balladyny”. Na początku planowała ją na małą scenę, ale z czasem koncepcja spektaklu nieco się rozrosła, więc w końcu trafił na dużą scenę i został bardzo pozytywnie przyjęty przez krytyków i widzów.

Sukces „Balladyny” sprawił, że stworzyliście grupę, z którą podbiliście świat.

Rzeczywiście, takie spektakle jak „Panopticum à la Madame Tussaud” czy „Koniec Europy” stały się trampoliną do wielkiej przygody naszego życia, jaką były podróże z Teatrem Nowym niemal po całym świecie. Wygrywane kolejne festiwale. Edynburg trzy razy, Teatr Narodów dwa razy. Więc temu teatrowi i Poznaniowi zawdzięczam bardzo wiele. Ale tych miejsc teatralnych w Poznaniu było kilka. Ojciec, jak wspominałem, pracował w operze, a jego druga żona Danuta Balicka była aktorką Teatru Polskiego. Dzięki Poznaniowi miałem więc okazję dobrze poznać teatr zarówno od kulis, jak i widowni. I – nie odżegnując się od muzyki filmowej – muzyka teatralna zawsze będzie ważnym elementem mojego kompozytorskiego życia. Izabella Cywińska miała na to wielki wpływ. I do dziś wspomina, jak jeden utwór skomponowałem, leżąc pod fortepianem. ©©

—rozmawiał Jan Bończa-Szabłowski